

STEPHEN KING



BAŚNIOWA OPOWIEŚĆ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
FAIRY TALE

Copyright © Stephen King 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: © Will Staehle

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przeklęty most. Cud. Wycie.

1

Jestem pewien, że potrafię opowiedzieć tę historię. I jestem również pewien, że nikt w nią nie uwierzy. W porządku, nie przeszkadza mi to. Wystarczy, że ją opowiem. Mój problem – na pewno ma go też wielu innych pisarzy, nie tylko tacy nowicjusze jak ja – polega na tym, że nie wiem, od czego zacząć.

Najpierw pomyślałem o szopie, bo tam zaczęły się wszystkie moje przygody, ale potem zrozumiałem, że wcześniej musiałbym opowiedzieć o panu Bowditchu i o tym, jak się zaprzyjaźniliśmy. Tyle że nie doszłoby do tego, gdyby nie cud, który uratował mojego ojca. Można powiedzieć, że to bardzo zwyczajny cud, który od 1935 roku przydarzył się już wielu tysiącom innych mężczyzn i kobiet, ale dziecku wydawał się czymś naprawdę wyjątkowym.

Tylko że to też nie będzie dobry początek, bo mój tata chyba nie potrzebowałby cudu, gdyby nie ten przeklęty most. Więc właśnie od niego będę musiał zacząć, od tego przekłętego mostu przy ulicy Jaworowej. Teraz, kiedy o tym myślę, widzę wyraźnie nic prowadzącą przez wszystkie te lata do pana Bowditcha i zamkniętej na kłódkę szopy za jego starym wiktoriańskim domem.

Ale nic może się łatwo zerwać. Więc nie nic, lecz łańcuch. Bardzo mocny. A ja byłem dzieciakiem przykutym do tego łańcucha.

Rzeka Little Rumple płynie przez północny kraniec miasteczka Sentry's Rest (nazywanego przez miejscowych po prostu Sentry) i aż do roku 1996, kiedy się urodziłem, jej brzegi łączył drewniany most. Właśnie wtedy inspektorzy stanowi z Wydziału Transportu Drogowego przyjrzeni mu się uważnie i stwierdzili, że jest niebezpieczny. Mój ojciec mówił, że ludzie z naszej części Sentry wiedzieli o tym od 1982 roku. Most teoretycznie miał nośność czterech i pół tony, ale miejscowi z wyładowanymi pick-upami zwykle go unikali, korzystając z płatnego objazdu, co było irytujące i czasochłonne. Tata mówił, że nawet w samochodzie osobowym czuło się, jak deski drżą, trzęsą się i dudnią pod kołami. Most był niebezpieczny, inspektorzy stanowi mieli rację, ale na tym właśnie polega ironia losu: gdyby starej drewnianej przeprawy nie wymieniono na nową, wykonaną ze stali, moja mama być może wciąż by żyła.

Little Rumple naprawdę jest mała, więc budowa nowego mostu nie trwała długo. Rozebrano drewnianą konstrukcję, a w kwietniu 1997 oddano do użytku nową.

– Burmistrz przeciął wstęgę, ojciec Coughlin pobłogosławił to cholerstwo i na tym cała uroczystość otwarcia się skończyła – powiedział ojciec pewnego wieczoru. Był wtedy mocno pijany. – Dla nas to raczej nie było błogosławieństwo, co, Charlie?

Oficjalnie nazwano most imieniem Franka Ellswortha, lokalnego bohatera, który zginął w Wietnamie, lecz miejscowi nazywali go „mostem przy Jaworowej”. Ulica Jaworowa była pokryta gładkim asfaltem i miała po obu stronach chodniki, ale nawierzchnia mostu – o długości czterdziestu pięciu metrów – była wykonana z metalowej kraty, która szumiała głośno pod kołami samochodów osobowych i huczała, gdy przejeżdżały po niej ciężarówki, a mogły to teraz robić, bo most miał nośność dwudziestu siedmiu ton. Za mało dla wielkich ciężarówek z naczepami, ale takie pojazdy i tak nigdy nie zapuszczały się na ulicę Jaworową.

Co roku rada miejska dyskutowała o tym, że most należy

wyasfaltować i dodać przynajmniej jeden chodnik, ale co roku okazywało się też, że są inne, pilniejsze inwestycje. Nie wiem, czy chodnik uratowałby moją matkę, ale być może zwykła nawierzchnia zapobiegłaby tragedii. Nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Ten przeklęty most.

3

Mieszkaliśmy przy ulicy Jaworowej, na zboczu Jaworowego Wzgórza, niecałe pół kilometra od mostu. Po drugiej stronie rzeki znajdowała się stacja paliw z małym sklepem o nazwie Zip Mart. Sprzedawano tam to, co zwykle sprzedaje się przy stacjach benzynowych, czyli wszystko: od oleju silnikowego, przez pieczywo tostowe Wonder Bread, po ciasteczka Little Debbie, ale także smażone w głębokim tłuszczu kurczaki przygotowywane przez właściciela, pana Eliadesa (którego wszyscy nazywali panem Zippym). Kurczaki były dokładnie takie, jak głosił napis w oknie: NAJLEPSZE W OKOLICY. Wciąż pamiętam ich cudowny smak, ale po śmierci mamy nie zjadłem już ani kawałka. Zakrztusiłbym się, gdybym spróbował.

Pewnej soboty w listopadzie 2003 roku – rada miejska po raz kolejny obradowała nad wyasfaltowaniem mostu i po raz kolejny uznała, że można z tym poczekać – mama powiedziała, że pójdzie do Zippy’ego i kupi nam kurczaka na kolację. Ja oglądałem z tatą mecz futbolowy ligi uniwersyteckiej.

– Powinnaś pojechać samochodem – poradził jej tata. – Będzie padać.

– Muszę się trochę poruszać – odparła. – Ale włożę płaszcz przeciwdeszczowy, wiesz, ten jak z Czerwonego Kapturka.

I ten właśnie płaszcz miała na sobie, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Nie założyła na głowę kaptura, bo jeszcze nie padało, więc włosy opadały jej na ramiona. Miałem wtedy siedem lat i uważałem, że moja mama ma najpiękniejsze rude włosy na świecie. Zobaczyła, że patrzę na nią przez okno, i pomachała mi.

Odmachałem i wróciłem do oglądania meczu, bo drużyna LSU właśnie wyprowadzała atak. Szkoda, że nie patrzyłem trochę dłużej, ale nie mam do siebie pretensji. Człowiek nigdy nie wie, kiedy życie szkuje mu jakąś paskudną niespodziankę, prawda?

To nie była moja wina ani wina taty, choć wiem, że się obwiniał; „Gdybym tylko ruszył wtedy swoje ciężkie dupsko i zawiózł ją do tego pieprzonego sklepu”, wyrzucał sobie. Prawdopodobnie nie była to też wina tego hydraulika w furgonetce. Gliniarze powiedzieli, że był trzeźwy, a on przysięgał, że nie jechał szybciej, niż pozwalały przepisy, czyli czterdzieści kilometrów na godzinę w obszarze zabudowanym. Tata mówił, że nawet jeśli to prawda, facet musiał oderwać wzrok od drogi, choćby na kilka sekund. Pewnie miał rację. Był rzeczoznawcą ubezpieczeniowym i kiedyś powiedział mi, że jedyny znany mu wypadek, w którym naprawdę nikt nie był winny, zdarzył się w Arizonie, gdy facet zginął od uderzenia meteorytu.

– To zawsze wynika z czyjegoś błędu – twierdził tata. – Co nie jest równoznaczne z winą.

– Obwiniasz tego faceta, który zabił mamę? – spytałem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem podniósł do ust szklankę i upił łyk. To było jakieś sześć, może osiem miesięcy po śmierci mamy, kiedy już praktycznie zrezygnował z piwa. Wtedy pił tylko gin Gilbey's.

– Staram się tak nie myśleć. I zwykle mi się udaje, dopóki nie obudzę się o drugiej w nocy całkiem sam, w pustym łóżku. Wtedy go obwiniam.

4

Mama zeszła ze wzgórza. W miejscu, gdzie kończył się chodnik, stał znak. Minęła go i przeszła przez most. Robiło się już ciemno i zaczynało mżyć. Weszła do sklepu i Irina Eliades (znana oczywiście jako pani Zippy) powiedziała jej, że następna porcja kurczaka będzie gotowa za trzy minuty, najwyżej pięć. Gdzieś przy ulicy Sosnowej, niedaleko naszego domu, hydraulik skończył ostatnią naprawę tej

soboty i wkładał do furgonetki skrzynkę z narzędziami.

Po chwili kurczak był już gotowy, gorący, chrupiący i złocisty. Pani Zippy podzieliła go na osiem kawałków i zapakowała do pudełka; na drogę dała mamie gratis skrzydełko. Mama podziękowała, zapłaciła i przystanęła jeszcze na chwilę obok stojaka z czasopismami. Gdyby tego nie zrobiła, być może udałoby jej się przejść przez cały most, kto wie? Furgonetka hydraulika pewnie skręcała już wtedy w ulicę Jaworową i zaczynała zjeżdżać ze wzgórza półtora kilometra od mostu, podczas gdy mama przeglądała najnowszy numer „People”.

Odłożyła gazetę na miejsce, otworzyła drzwi i rzuciła przez ramię do pani Zippy:

– Dobrej nocy.

Być może krzyknęła, gdy zrozumiała, że furgonetka w nią uderzy – Bóg jeden wie, co wtedy myślała, ale to były ostatnie słowa, jakie wypowiedziała na tym świecie. Wyszła. Mżawka zamieniła się już w zimny rześisty deszcz, srebrzyste smugi kropel widoczne w świetle jedynej latarni po tej stronie rzeki.

Pogryzając skrzydełko kurczaka, mama weszła na stalową powierzchnię mostu. Blask reflektorów wydobył z mroku jej postać, za którą pojawił się wydłużony cień. Hydraulik minął ustawioną po drugiej stronie tablicę z napisem: OBLODZENIE POWIERZCHNI MOSTU! JEDŹ OSTROŻNIE! Czy patrzył wtedy w lusterko wsteczne? Może sprawdzał wiadomości w telefonie? Twierdził, że nie, ale kiedy myślę o tym, co wydarzyło się tamtego wieczoru, zawsze przypominam sobie słowa taty o człowieku zabitym przez meteoryt – jedynym znanym mu wypadku, w którym nikt nie zawinił.

Miejsca nie brakowało: stalowy most był znacznie szerszy od swojego drewnianego poprzednika. Problem stanowiła metalowa kratownica. Hydraulik zobaczył moją mamę, gdy był w połowie mostu, i nacisnął hamulec; nie dlatego, że jechał za szybko (a przynajmniej tak utrzymywał), tylko odruchowo. Stalowa powierzchnia zaczęła obmarzać i furgonetka wpadła w poślizg, obróciła się i zaczęła sunąć bokiem. Mama przywarła do poręczy mostu, wypuszczając z dłoni skrzydełko kurczaka. Samochód

sunął dalej, uderzył w nią i zaczął się przesuwac wzdłuż poręczy; obracał przy tym moją mamą jak dziecięcym bączkiem. Nie chcę nawet myśleć o tym, jakie części jej ciała oderwały się podczas tego śmiertelnego tańca, ale czasem nie potrafię tego powstrzymać. Wiem tylko tyle, że w końcu przód samochodu wbił ją w słup po drugiej stronie mostu. Część mamy wpadła do rzeki. Większość została na moście.

Noszę w portfelu nasze zdjęcie. Miałem jakieś trzy lata, kiedy je zrobiono. Mama opiera mnie o biodro. Ja trzymam jedną dłoń w jej włosach. Miała piękne włosy.

5

Boże Narodzenie tego roku było do dupy. Sami chyba rozumiecie.

Pamiętam stypę. Odbywała się w naszym domu. Ojciec witał gości i odbierał kondolencje, a potem zniknął. Spytałem jego brata, gdzie się podział.

– Musiał się położyć – odpowiedział wuj Bob. – Był naprawdę zmęczony, Charlie. Może pójdziesz się pobawić na dworze?

Nigdy w życiu nie miałem mniejszej ochoty na zabawę, ale poszedłem. Minąłem grupkę dorosłych, którzy wyszli na zewnątrz, by zapalić, i usłyszałem, jak jeden z nich mówił: „Biedak, pijany jak bela”. Nawet wtedy, pogrążony w rozpacz po śmierci mamy, wiedziałem, o kim mówili.

Nim umarła, ojciec „pijał rozsądnie”, że tak to ujmę. Byłem wtedy jeszcze małym dzieckiem, więc możecie to uznać za niedomówienie, ale tego właśnie będę się trzymał. Nigdy nie słyszałem, by bełkotał, nigdy się nie zataczał, nie chodził do barów, nigdy też nie tknął mnie ani mamy. Wracał do domu ze swoją aktówką, a mama częstowała go drinkiem, zwykle martini. Ona też piła jednego. Wieczorem, gdy oglądaliśmy telewizję, wypijali czasem piwo albo dwa. I na tym koniec.

Wszystko zmieniło się po tym przeklętym moście. Ojciec był pijany po pogrzebie („jak bela”), był pijany w Boże Narodzenie,

upił się też w sylwestra (nazywanego przez ludzi takich jak on „nocą amatorów”, o czym dowiedziałem się znacznie później). Przez długie tygodnie i miesiące po śmierci mamy przez większość czasu był pijany. Zwykle w domu. Wciąż nie chodził wieczorami do barów („Zbyt wielu dupków takich jak ja”, powiedział kiedyś) i nie robił mi krzywdy, jego picie wymknęło się jednak spod kontroli. Teraz to wiem; wtedy to po prostu akceptowałem. Dzieciaki tak robią. I psy.

Coraz częściej sam robiłem sobie śniadanie, najpierw raz czy dwa w tygodniu, potem cztery, wreszcie praktycznie codziennie. Jadłem w kuchni płatki Alpha-Bits albo Apple Jacks i słyszałem jego dochodzące z sypialni chrapanie – głośne i zgrzytliwe niczym warkot motorówki. Czasami zapominał się ogolić przed wyjściem do pracy. Po kolacji (coraz częściej były to dania na wynos) chowałem kluczyki do samochodu. Jeśli chciał kolejną butelkę, mógł przejść się po nią do Zippy’ego. Czasami martwiłem się, że wpadnie pod samochód na tym przeklętym moście, ale nie za bardzo. Byłem pewien (a przynajmniej dość pewien), że to niemożliwe, by oboje moi rodzice zginęli w tym samym miejscu. Tata pracował w ubezpieczeniach, wiedziałem więc, że tabele aktuarialne bazują na rachunku prawdopodobieństwa.

Tata był dobry w swoim fachu i mimo picia jakoś sobie radził przez ponad trzy lata. Czy dostawał w pracy jakieś ostrzeżenia? Nie wiem, ale pewnie tak. Czy zatrzymano go kiedyś, bo jeździł zygzakiem, gdy zaczął pić już po południu? Jeśli tak, to być może skończyło się tylko na ostrzeżeniu. Właściwie to więcej niż „być może”, bo znał wszystkich gliniarzy w mieście. Kontakty z policją były częścią jego pracy.

Przez te trzy lata nasze życie miało określony rytm. Nie był to może dobry rytm, nie taki, do którego chciałoby się tańczyć, ale dawał jakieś oparcie. Wracałem ze szkoły mniej więcej o trzeciej. Ojciec przychodził koło piątej, już po kilku drinkach, którymi zionął na odległość (nie chodził do barów wieczorami, ale później dowiedziałem się, że był stałym bywalcem tawerny Duffy’ego, do której wstępował po drodze z biura do domu. Przynosił pizzę, tacos albo chińskie dania z Joy Fun. Czasami o tym zapominał i wtedy

zamawialiśmy jedzenie do domu... a raczej ja zamawiałem. Po kolacji zaczynało się właściwe picie. Głównie gin. Inne rzeczy, jeśli gin się skończył. Czasami ojciec zasypiał przed telewizorem, czasami wtaczał się do swojej sypialni, zostawiając porzucone w nieładzie buty i zmięty garnitur, który odkładałem za niego na miejsce. Co jakiś czas nocami budził mnie jego płacz. To okropne usłyszeć coś takiego w środku nocy.

Załamanie przyszło w 2006 roku. Trwały wakacje. O dziesiątej miałem mecz dziecięcej ligi baseballowej, Shrimp League; zaliczyłem dwa home runy i świetny przechwyt. Wróciłem do domu tuż po południu i zastałem tatę siedzącego w jego fotelu i wpatrującego się w telewizor, w którym leciał jakiś stary film, a przebrzmiałe gwiazdy kina toczyły pojedynek na schodach zamku. Miał na sobie tylko slipy i popijał jakiś biały napój – czysty gin Gilbey's, sądząc po zapachu. Spytałem go, co robi w domu o tej porze.

Wciąż wpatrzony w ekran telewizora, wybełkotał:

– Wygląda na to, że straciłem pracę, Charlie. Albo, jeśli wolno mi zacytować Bobcatę Goldthwaita, przekazałem ją komuś, kto wykonuje ją teraz za mnie. Albo wkrótce będzie wykonywał.

Wydawało mi się, że nie wiem, co odpowiedzieć, ale słowa same wypłynęły z moich ust:

– Przez twoje picie – rzuciłem.

– Skończę z tym – odparł.

Wskazałem tylko na jego szklankę. Poszedłem do swojego pokoju, zatrzęsnałem drzwiami i zacząłem płakać.

Zapukał do mnie.

– Mogę wejść?

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem, żeby widział, jak się mażę.

– Daj spokój, Charlie. Wylałem to do zlewu.

Jakbym nie wiedział, że na kuchennym blacie stoi butelka z resztą ginu. A w barku jeszcze jedna. Albo dwie. A może trzy.

– No już, Charlie, co na to powiesz?

„Czo”. Nienawidziłem tego bełkotu.

– Wal się, tata.

Nigdy wcześniej nie mówiłem do niego takich rzeczy i w

pewnym sensie chciałem, żeby do mnie wszedł i mnie uderzył. Albo przytulił. Cokolwiek. Usłyszałem jednak, jak wlecze się do kuchni, gdzie czekała na niego butelka ginu.

Kiedy w końcu wyszedłem ze swojego pokoju, spał na kanapie. Telewizor wciąż był włączony, ale ojciec go wyciszył. Leciał jakiś inny czarno-biały film, stare samochody ścigały się w scenerii, w której na pierwszy rzut oka można było rozpoznać plan filmowy. Tata zawsze oglądał TCM, gdy pił, chyba że byłem w domu i chciałem obejrzeć coś innego. Butelka stała na stoliku, prawie pusta. Wylałem resztkę ginu do zlewu. Otworzyłem barek i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie opróżnić wszystkich innych butelek, ale od samego patrzenia na gin, whiskey, wódkę i kawową brandy poczułem się okropnie zmęczony. Trudno uwierzyć, że dziesięcioolatek może czuć tego rodzaju zmęczenie, ale tak właśnie było.

Włożyłem do mikrofalówki mrożonkę firmy Stouffer – Zapiekanekę Drobiową Babuni, naszą ulubioną – i kiedy danie się podgrzewało, zbudziłem tatę. Usiadł prosto, rozejrzał się nieprzytomnie, jakby nie wiedział, gdzie jest, a potem zaczął wydawać z siebie okropne gardłowe dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszałem. Zakrywając usta dłonią, przeszedł chwiejnym krokiem do łazienki, a zaraz potem usłyszałem, jak wymiotuje. Wydawało się, że nigdy nie przestanie, ale w końcu ucichł. Zadzźwięczał dzwonek mikrofalówki. Wyjąłem zapiekankę, używając rękawic kuchennych z napisem MIŁEGO GOTOWANIA na lewej i SMACZNEGO na prawej; jeśli choć raz zapomnisz je włożyć przed wyjęciem z mikrofalówki czegoś gorącego, potem już zawsze będziesz o tym pamiętał. Nałożyłem jedzenie na talerze i przeszedłem do salonu, gdzie tata siedział na kanapie, z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi na karku.

– Możesz jeść? – spytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

– Może. Jeśli przyniesiesz mi aspirynę.

Łazienka śmierdziała ginem i czymś jeszcze, może dipem fasolowym, ale przynajmniej trafił z tym wszystkim do sedesu i spuścił wodę. Rozpyliłem trochę odświeżacza powietrza, a potem

przyniosłem ojcu buteleczkę z aspiryną i szklanekę wody. Zażył trzy tabletki i odstawił szklanekę tam, gdzie wcześniej stała butelka Gilbey's. Potem spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakiego nie widziałem u niego nigdy wcześniej, nawet po śmierci mamy. Przykro mi to mówić, ale powiem, bo tak właśnie wtedy pomyślałem: to był wzrok psa, który zesrał się na podłogę.

– Mógłbym coś zjeść, gdybyś mnie przytulił.

Przytuliłem go i powiedziałem, że żałuję tego, co mówiłem wcześniej.

– Nie ma sprawy. Pewnie sobie zasłużyłem.

Przeszliśmy do kuchni i zjedliśmy tyle Zapiekanek Drobiowej Babuni, ile byliśmy w stanie, czyli niezbyt wiele. Kiedy mył talerze, powiedział, że przestanie pić, i w ten weekend rzeczywiście nie pił. Mówił też, że w poniedziałek zacznie szukać pracy, ale nie zrobił tego. Został w domu, oglądał stare filmy na TCM, a kiedy wróciłem do domu po treningu baseballu i lekcji pływania, był już mocno zaprawiony.

Zauważył, że na niego patrzę, i pokręcił głową.

– Jutro. Jutro na sto procent, obiecuję.

– Gówno prawda – rzuciłem i poszedłem do swojego pokoju.

6

To było najgorsze lato mojego dzieciństwa. „Gorsze od tego po śmierci matki?”, moglibyście spytać, a ja odpowiedziałbym, że owszem, bo ojciec był jedynym rodzicem, jaki mi został, a w dodatku wszystko działo się wtedy jakby w zwolnionym tempie.

Rzeczywiście próbowałem – bez większego przekonania – znaleźć pracę w branży ubezpieczeniowej, ale nic nie wskórałem, nawet jeśli przed rozmowami kwalifikacyjnymi starannie się goliłem, kąpałem i ubierałem. Cóż, plotki szybko się rozchodzą.

Dostawaliśmy kolejne rachunki, na stole w przedpokoju rosła sterta kopert, do których nikt nie zaglądał. A przynajmniej nie on. To ja w końcu je otworzyłem, gdy sterta była już zbyt wysoka.

Podsunałem mu plik rachunków, a on wypisał czeki, które miały pokryć zaległości. Nie wiedziałem, kiedy te czeki zaczną do nas wracać z adnotacją BRAK ŚRODKÓW, i nie chciałem wiedzieć. Czułem się tak, jakbym stał na moście i wyobrażał sobie, jak sunie na mnie ciężarówka, która wpadła w poślizg. Jakbym się zastanawiał, o czym człowiek myśli tuż przed tym, zanim ta ciężarówka rozgniecie go na miazgę.

Dostał pracę na pół etatu w myjni samochodowej Jiffy Car Wash przy wjeździe na drogę ekspresową. Wytrzymał tam tydzień, potem albo sam zrezygnował, albo go wylali. Nie powiedział mi, a ja nie pytałem.

Dostałem się do drużyny gwiazd dziecięcej ligi baseballu, ale przegraliśmy dwa mecze i odpadliśmy z dalszych rozgrywek. Podczas sezonu zasadniczego zaliczyłem szesnaście home runów i byłem najlepszym pałkarzem drużyny Star Market, ale w ciągu tych dwóch meczów siedmiokrotnie nie trafiłem w piłkę; raz wbiłem ją w piach, a raz dostałem ją tak wysoko, że potrzebowałbym windy, by jej dosięgnąć. Trener spytał, co się ze mną dzieje, a ja odpowiedziałem, że nic, naprawdę nic, dajcie mi spokój. Robiłem wtedy różne głupie rzeczy – niektóre z przyjaciółmi, inne całkiem sam.

I nie spałem dobrze. Nie miałem koszmarów jak zaraz po śmierci mamy. Po prostu nie mogłem zasnąć co najmniej do północy albo pierwszej. Zacząłem odwracać budzik, żebym nie musiał patrzeć na cyfry.

Nie powiem, żebym nienawidził ojca (choć pewnie z czasem tak by się stało), ale czułem wobec niego pogardę. Mięczak, mięczak, myślałem, leżąc w łóżku i słuchając jego chrapania. I oczywiście zastanawiałem się, co się z nami stanie. Samochód był splecony – na szczęście – ale dom nie, a wysokość rat mnie przerażała. Ile jeszcze czasu minie, nim nie będziemy w stanie regularnie ich spłacać? Ta chwila musiała wcześniej czy później nadejść, bo kredyt był rozłożony jeszcze na dziewięć lat, a z pewnością nie mieliśmy dość oszczędności, by spłacać go tak długo.

Będziemy bezdomni, myślałem. Bank zabierze dom, jak w *Gronach gniewu*, a my staniemy się bezdomni.

Widywałem bezdomnych w centrum miasta, było ich tam mnóstwo, i kiedy nie mogłem zasnąć, przypominałem sobie o nich. Dużo myślałem o tych miejskich włóczęgach. Nosili stare ubrania, które zwisały z ich wychudzonych ciał albo opinały te korpulentne. Buty sklejone srebrną taśmą. Okulary z powyginanymi oprawkami. Długie włosy. Mieli oszalałe oczy. Śmierdzieli alkoholem. Myślałem o tym, jak będziemy spać w naszym samochodzie przy starych stacjach rozrządowych albo na parkingu Walmartu, między kamperami. Wyobrażałem sobie, jak ojciec pcha wózek sklepowy wypełniony wszystkim, co nam zostało. Zawsze widziałem w tym wózku mój budzik. Nie wiem, dlaczego mnie to przerażało, ale tak właśnie było.

Wkrótce musiałem wrócić do szkoły, bez względu na to, co stanie się z naszym domem. Przypuszczałem, że niektóre dzieciaki z naszej drużyny zaczną mnie przezywać Charlie Patałach. Co i tak byłoby lepsze niż Charlie Syn Pijusa, ale ile jeszcze minie czasu, nim pojawi się i ta druga wersja? Ludzie z naszej ulicy wiedzieli, że George Reade nie chodzi już do pracy, i niemal z pewnością wiedzieli też dlaczego. Nawet nie próbowałem się oszukiwać, że jest inaczej.

Nigdy nie chodziliśmy do kościoła, nie byliśmy pobożni w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Kiedyś spytałem mamę, dlaczego nie chodzimy na msze – czy to dlatego, że nie wierzy w Boga? Odparła, że wierzy, ale nie potrzebuje pomocy pastora (albo księdza, albo rabina), żeby jej mówił, jak ma to robić. Twierdziła, że wystarczy, jeśli otworzy oczy i rozejrzy się dokoła. Tata mówił, że wychował się w rodzinie baptystów, ale przestał praktykować, gdy jego Kościół zaczął się interesować bardziej polityką niż Kazaniem na Górze.

Ale pewnego wieczoru, jakiś tydzień przed powrotem do szkoły, przyszło mi nagle do głowy, żeby się pomodlić. Ten impuls był tak silny, że właściwie stał się przymusem. Ukląknęłam obok łóżka, złożyłam dłonie, zacisnęłam mocno powieki i modliłam się, by ojciec przestał pić.

– Jeśli to dla mnie zrobisz, kimkolwiek jesteś, ja zrobię coś

dla ciebie – powiedziałem. – Obiecuję i prędzej umrę, niż nie dotrzymam tej obietnicy. Pokaż mi tylko, czego chcesz, a ja to zrobię. Przysięgam.

Potem wróciłem do łóżka i przynajmniej tej nocy spałem spokojnie do samego rana.

7

Nim ojca zwolniono, pracował dla Overland National Insurance. To była naprawdę duża firma. Pewnie widzieliście jej reklamy, te z Billem i Jill, gadającymi wielbłędami. Naprawdę śmieszne. Tata mawiał czasami:

– Wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe używają zabawnych reklam, żeby przyciągnąć uwagę, ale kiedy ubezpieczony składa wniosek o odszkodowanie, robi się całkiem poważnie. Właśnie wtedy ja wkraczam do akcji. Jestem rzeczoznawcą, co oznacza... choć nikt nie mówi o tym głośno... że powinienem obniżyć wysokość odszkodowania. Czasami to robię, ale cały sekret polega na tym, że na początku zawsze stoję po stronie wnioskodawcy. Chyba że znajdę powód, by tego nie robić.

Główna siedziba Overlandu na Środkowym Zachodzie znajduje się na obrzeżach Chicago, przy ulicy, którą nazywał Aleją Ubezpieczeniową. Kiedy jeszcze dojeżdżał do pracy, podróż z Sentry zajmowała mu czterdzieści minut, maksymalnie godzinę, jeśli stał w korkach. To biuro zatrudniało co najmniej stu rzeczoznawców. Pewnego wrześniowego dnia 2008 roku jeden z agentów, który kiedyś pracował z moim ojcem, wpadł do niego w odwiedziny. Nazywał się Lindsey Franklin. Tata mówił o nim po prostu Lindy. Przyjechał późnym popołudniem, kiedy siedziałem przy stole w kuchni i odrabiałem lekcje.

Tamten dzień zaczął się wyjątkowo paskudnie. W domu wciąż unosił się lekki zapach spalenizny, choć rozpyliłem wszędzie odświeżacz. Rano tata postanowił zrobić omlety na śniadanie. Bóg jeden wie, dlaczego wstał o szóstej i dlaczego uznał, że potrzebuję

omleta, ale zabrał się do smażenia, a potem wyszedł z kuchni, żeby skorzystać z toalety albo włączyć telewizor, i całkiem zapomniał o tym, co zostawił na kuchence. Na pewno ciągle był jeszcze trochę wstawiony po wieczornym piciu. Obudzony piskiem czujnika dymu, pobiegłem do kuchni w samych majtkach i zobaczyłem chmurę dymu. Coś, co leżało na patelni, wyglądało jak spalone drewno.

Zeskrobałem to i wyrzuciłem do kosza, a potem zjadłem płatki Apple Jacks. Tata wciąż miał na sobie fartuch, w którym wyglądał wyjątkowo głupio. Kiedy próbował mnie przeproszać, wymamrotałem coś w odpowiedzi, byle tylko się zamknął. Z tych tygodni i miesięcy zapamiętałem przede wszystkim to, że ciągle próbował przeproszać, co doprowadzało mnie do szaleństwa.

Ale był to również wyjątkowo dobry dzień, jeden z najlepszych, dzięki temu, co stało się po południu. Pewnie znacie to o wiele lepiej ode mnie, ale i tak wam opowiem, bo nigdy nie przestałem kochać taty, nawet gdy go nie lubiłem, a ta część opowieści jest dla mnie naprawdę wyjątkowo miła.

Lindy Franklin pracował dla Overlandu. Był również trzeźwiejącym alkoholikiem. Nie należał do grona bliskich znajomych ojca, pewnie dlatego, że po pracy nigdy nie zachodził do tawerny Duffy'ego wraz z innymi rzeczoznawcami. Wiedział jednak, że mój tata stracił pracę, i postanowił coś z tym zrobić. A przynajmniej spróbować. Złożył więc wizytę, która – jak się później dowiedziałem – stanowi treść Dwunastego Kroku. Miał kilka umówionych spotkań w naszym miasteczku, a kiedy już wszystko załatwił, postanowił pod wpływem chwili do nas wpaść. Później mówił, że omal się nie rozmyślił, bo nie miał wsparcia (trzeźwiejący alkoholicy wykonują Dwunasty Krok z partnerem, trochę jak mormoni), ale machnął na to ręką i wyszukał nasz adres w telefonie. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdyby tego nie zrobił. Nie znalazłbym się nigdy we wnętrzu szopy pana Bowditcha, to pewne.

Pan Franklin, starannie ostrzyżony, był w garniturze i pod krawatem. Tata – nieogolony, bosi, w koszuli wyciągniętej ze spodni – przedstawił nas sobie. Pan Franklin uściśnił moją dłoń, powiedział, że bardzo mu miło mnie poznać, a potem spytał, czy

zechciałbym wyjść na zewnątrz, żeby mógł porozmawiać z moim ojcem. Oczywiście nie miałem nic przeciwko, ale okna wciąż były otwarte po śniadaniowej katastrofie, więc słyszałem całkiem sporo z tego, co mówił. Dwie rzeczy szczególnie mocno zapadły mi w pamięć. Tata skarżył się, że pije, bo wciąż okropnie mu brak Janey.

– Jasne, gdyby gorzała mogła ci ją przywrócić, wcale bym się nie dziwił – powiedział na to pan Franklin. – Ale nie przywróci, a jak by się czuła Janey, gdyby zobaczyła, jak teraz żyjecie, ty i twój syn?

Drugie zdanie, które dobrze zapamiętałem, brzmiało:

– Czy nie jesteś już zmęczony i przygnębiony tym, że jesteś zmęczony i przygnębiony?

Wtedy tata zaczął płakać. Zwykle nie cierpiałem, kiedy to robił (mięczak, mięczak), ale tym razem pomyślałem, że być może ten płacz jest inny.

8

Wiedzieliście, że do tego dojdzie, i prawdopodobnie równie dobrze znacie całą resztę tej historii. Na pewno ją znacie, jeśli sami trzeźwiejecie albo znacie kogoś, kto trzeźwieje. Tamtego wieczoru Lindy Franklin zabrał tatę na spotkanie AA. Kiedy wrócili, zadzwonił do żony i powiedział, że zostaje na noc u przyjaciela. Spał na rozkładanej kanapie, a następnego dnia zabrał tatę na spotkanie AA o siódmej rano, nazywane Trzeźwym Porankiem. Od tamtej pory mój ojciec regularnie uczęszczał na te spotkania i po pierwszym roku trzeźwości dostał medal AA. Nie poszedłem wtedy do szkoły, żeby mu wręczyć ten medal, i tym razem to ja trochę się pobeczalem. Nikomu to nie przeszkadzało: na tych spotkaniach ludzie często się mażą. Potem tata mocno mnie uściskał, Lindy też. W tym czasie mówiłem mu już po imieniu, bo często u nas bywał. Był sponsorem mojego ojca w programie AA.

To był właśnie cud. Teraz wiem sporo o AA i wiem też, że spotyka to mężczyzn i kobiety na całym świecie, ale wtedy wydawało mi się

to cudem. Tata nie dostał medalu równo rok po pierwszej wizycie Lindy'ego, bo zdarzyło mu się parę wpadek, ale przyznał się do nich, a ludzie z AA mówili to, co zawsze mówią w takich sytuacjach – wracaj, walcz dalej; i tak też robił. A ostatnie potknięcie – jedno piwo z sześciopaku, który wylał do zlewu – przydarzyło mu się tuż przed Halloween w 2009 roku. Kiedy Lindy przemawiał na pierwszej rocznicy taty, powiedział, że wiele osób ma dostęp do programu, ale niewiele go rozumie i realizuje. I dodał, że mój ojciec jest jednym z tych szczęściarzy. Może tak rzeczywiście było, może moja modlitwa przypadkiem zbiegła się w czasie z tą przemianą, ale postanowiłem uznać, że to nie był przypadek. W AA możesz wierzyć w to, co chcesz. Tak napisano w czymś, co trzeźwiejący alkoholicy nazywają Wielką Księgą.

Musiałem więc dotrzymać obietnicy.

9

Jedynymi spotkaniami AA, na które sam chodziłem, były rocznice taty, ale – jak już wspomniałem – Lindy często u nas bywał, więc poznałem większość powiedzonek, jakimi przerzucają się ludzie z AA. Podobało mi się „Nie da się odkwasić kiszzonego ogórka” i „Jeden kieliszek to za dużo, sto za mało”, ale tym, co szczególnie mocno mnie poruszyło i co pamiętam doskonale do dziś, były słowa, które padły z ust Lindy'ego podczas pewnej wieczornej rozmowy, gdy tata mówił o nieopłaconych rachunkach i o tym, jak bardzo boi się utraty domu. Lindy przypomniał mu wtedy, że jego wytrzeźwienie było cudem. A potem dodał: „Ale cuda to nie czary”.

Pół roku po rzuceniu picia mój ojciec zgłosił się do pracy w Overlandzie i dzięki wsparciu Lindy'ego Franklina oraz kilku innych osób – między innymi byłego szefa, tego samego, który go zwolnił – wrócił na swoje dawne stanowisko. Był jednak na okresie próbnym i dobrze o tym wiedział, dlatego pracował dwa razy ciężiej niż dawniej. Potem, jesienią 2011 roku (dwa lata trzeźwości), odbył z Lindym rozmowę, która trwała tak długo, że ten znów został

na noc i spał na rozkładanej kanapie. Tata powiedział, że chce się uniezależnić, ale nie robi tego bez jego błogosławieństwa. Lindy upewnił się, że mój ojciec nie wróci do picia, jeśli jego nowy biznes padnie – co wydawało się całkiem możliwe, bo trzeźwienie to nie fizyka kwantowa – po czym poradził mu, by wziął byka za rogi i spróbował.

Tata posadził mnie przed sobą i wyjaśnił, na czym polegałaby jego praca na własny rachunek.

– No i co o tym myślisz? – spytał w końcu.

– Myślę, że powinienś się pożegnać z tymi gadającymi wielbładami – odparłem, co szczerze go ubawiło. Potem dodałem to, co musiałem dodać: – Ale jeśli znów zaczniesz pić, spieprzysz to.

Dwa tygodnie później złożył wypowiedzenie w Overlandzie, a w lutym 2012 roku wywiesił swój szyld przed małym biurem przy ulicy Głównej: *George Reade. Niezależny śledczy i rzeczoznawca ubezpieczeniowy*.

Nie spędzał dużo czasu w tej dziupli; zwykle pracował w terenie, przemierzając okolicę. Rozmawiał z gliniarzami, z poręczycielami kaucji („Zawsze mają cenne wskazówki”, mawiał), ale najczęściej rozmawiał z prawnikami. Wielu z nich znało go z czasów, gdy pracował w Overlandzie, i wiedziało, że jest uczciwy. Dawali mu trudne zadania – sprawy, w których duże firmy ubezpieczeniowe drastycznie zmniejszyły wielkość odszkodowań lub w ogóle odmawiały wypłaty. Pracował bardzo dużo. Zwykle wieczorami wracałem do pustego domu i sam robiłem sobie kolację. Nie przeszkadzało mi to. Początkowo, gdy tata w końcu wracał z pracy, przytulałem się do niego, by sprawdzić ukradkiem, czy jego oddech nie kryje w sobie znajomego zapachu ginu Gilbey’s. Po jakimś czasie po prostu się przytulałem. I rzadko kiedy opuszczał spotkania Trzeźwy Poranek.

Czasami Lindy wpadał w niedzielę na lunch. Zwykle przywoził jedzenie i oglądaliśmy w telewizji mecze Bearsów albo White Soxów, jeśli akurat trwał sezon baseballowy. Podczas jednego z takich popołudni tata powiedział, że biznes z miesiąca na miesiąc idzie coraz lepiej.

– Byłoby jeszcze szybciej, gdybym częściej stawał po stronie ubezpieczonego w sprawach poślizgnięć i upadków, ale wiele z tych spraw śmierdzi na odległość.

– Wiem coś o tym. – Lindy pokiwał głową. – Mógłbyś na tym szybko zarobić, ale później odbijałoby ci się to czkawką.

Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego – byłem wtedy w trzeciej klasie szkoły średniej Hillview – ojciec powiedział, że będziemy musieli odbyć poważną rozmowę. Przygotowałem się wewnątrznie na wykład o piciu małoletnich albo dyskusję o paru głupotach, które robiłem z moim przyjacielem Bertiem Birdem w czasie, gdy pił (i parę razy później), ale okazało się, że chodzi o coś całkiem innego, a mianowicie o szkołę. Powiedział mi, że muszę się dobrze uczyć, jeśli chcę się dostać na przyzwoite studia. Naprawdę dobrze.

– Moja firma będzie działać. Na początku było kiepsko, musiałem poprosić brata o pożyczkę, ale już ją prawie spłaciłem i myślę, że niedługo stanę na nogach. Zleceń mam mnóstwo. Ale jeśli chodzi o studia... – Pokręcił głową. – Chyba nie będę ci mógł pomóc, przynajmniej na początku. Mamy ogromne szczęście, że w ogóle jakoś dajemy sobie radę. Zdaję sobie sprawę, że wpakowaliśmy się w to przeze mnie, robię jednak wszystko, co mogę, żeby naprawić sytuację...

– Wiem.

– ...ale będziesz musiał pomóc sobie sam. Musisz pracować. Musisz zdobyć jak najwięcej punktów na teście SAT, jeśli zechcesz go zdawać.

Zamierzałem zdawać ten egzamin w grudniu, lecz nie wspomniałem o tym. Nie chciałem wybijać taty z rytmu.

– Są wprawdzie pożyczki, ale na twoim miejscu skorzystałbym z nich tylko w ostateczności. Pożyczki studenckie potem długo zatruwają życie. Pomyśl raczej o stypendium. I dalej trenuj, to dobra droga do uzyskania stypendium, tylko że stopnie są najważniejsze. Stopnie, stopnie, stopnie. Nie mówię, że musisz być najlepszy, ale chciałbym cię widzieć w pierwszej dziesiątce. Rozumiesz?

– Tak, tata – odparłem, a on poklepał mnie po ramieniu.

Uczyłem się pilnie i zdobywałem dobre stopnie. Grałem w futbol jesienią i w baseball wiosną. W przedostatniej klasie występowałem w pierwszych drużynach w obu tych dyscyplinach. Trener Harkness chciał, żebym grał też w koszykówkę, ale odmówiłem. Powiedziałem, że potrzebuję co najmniej trzech miesięcy w roku, żeby zająć się innymi rzeczami. Trener odszedł ode mnie, kręcąc głową nad smutnym obrazem młodzieży w tej zdegenerowanej epoce.

Chodziłem na imprezy. Całowałem się z dziewczynami. Zyskałem paru dobrych przyjaciół, w większości sportowców, ale nie tylko. Odkryłem kilka zespołów metalowych, które mi się podobały, i puszczałem głośno ich kawałki. Tata nigdy nie protestował, ale na Gwiazdkę kupił mi słuchawki. W mojej przyszłości kryły się straszliwe rzeczy – opowiem wam o nich potem – ale nie spełniła się żadna z tych straszliwych rzeczy, które wyobrażałem sobie wcześniej, gdy nie mogłem zasnąć. Wciąż mieliśmy dom, który mogłem otwierać swoim kluczem. To było naprawdę cenne. Jeśli kiedykolwiek przypuszczaliście, że być może będziecie spędzać mroźne zimowe noce w samochodzie albo schronisku dla bezdomnych, to wiecie, o czym mówię.

I nigdy nie zapomniałem o umowie, którą zawarłem z Bogiem. „Jeśli to dla mnie zrobisz, kimkolwiek jesteś, ja zrobię coś dla ciebie – powiedziałem, i to klęcząc. – Obiecuję i prędzej umrę, niż nie dotrzymam tej obietnicy. Pokaż mi tylko, czego chcesz, a ja to zrobię. Przysięgam”. To była modlitwa dziecka, myślenie magiczne, ale jakaś część mnie (właściwie większa część) nie wierzyła, że to przypadek. I nie wierzy teraz. Uważałem, że moja modlitwa została wysłuchana, jak w jednym z tych ckliwych filmów, które pokazują na kanale Lifetime między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Co oznaczało, że musiałem dotrzymać mojej części umowy. Czułem, że jeśli tego nie zrobię, Bóg odbierze mi

ten cud i ojciec znów zacznie pić. Musicie pamiętać, że dzieciaki ze szkoły średniej – bez względu na to, jak rośli są chłopcy i jak piękne dziewczyny – to w głębi duszy wciąż małe dzieci.

Staralem się. Choć moje dni były nie tyle wypełnione po brzegi nauką i zajęciami pozalekcyjnymi, ile wręcz pękały od ich nadmiaru, robiłem wszystko, co mogłem, by spłacić dług.

Wstąpiłem do klubu Key, który zgłosił inicjatywę nazwaną Adoptuj Autostradę. Mielśmy pod opieką tereny wzdłuż trzech kilometrów autostrady 226, zajmowane głównie przez bary fastfoodowe, motele i stacje benzynowe. Zebrałem tam z miliard pudełek po Big Macach, dwa miliardy puszek po piwie i co najmniej kilkanaście kompletów bielizny. Podczas Halloween włożyłem idiotyczny pomarańczowy sweter i chodziłem po ulicach, zbierając pieniądze dla UNICEF-u. Latem 2012 roku pomagałem w organizacji wyborów, choć byłem jeszcze o półtora roku za młody, żeby głosować. W piątki po treningu pomagałem tacie w biurze; segregowałem dokumenty i wprowadzałem dane do komputera, gdy za oknem robiło się ciemno i jedliśmy razem pizzę od Giovanniego prosto z pudełka.

Ojciec twierdził, że wszystkie te zajęcia będą świetnie wyglądać na moim podaniu na studia, a ja przyznawałem mu rację, nie zdradzając, dlaczego naprawdę to robię. Nie chciałem, by Bóg uznał, że nie dotrzymuję umowy, czasami jednak zdawało mi się, że słyszę niebiański, pełen dezaprobaty szept: „To za mało, Charlie. Naprawdę myślisz, że zbieranie śmieci przy drodze to odpowiednia zapłata za dobre życie, które wieszysz teraz z tatą?”.

Co sprowadza mnie – w końcu – do kwietnia 2013 roku, gdy miałem siedemnaście lat. I do pana Bowditcha.

11

Stare, dobre liceum Hillview! Teraz wydaje się, że to było całe wieki temu. Zimą dojeżdżałem do szkoły autobusem, w którym siedziałem z tyłu z Andym Chenem, moim przyjacielem jeszcze z

podstawówki. Andy był zapalonym sportowcem; potem grał w koszykówkę w drużynie Uniwersytetu Hofstra. Bertiego już z nami nie było, wyprowadził się. Co w pewnym sensie przyjąłem z ulgą. Istnieje coś takiego jak dobry przyjaciel, który jednocześnie jest złym przyjacielem. Prawdę mówiąc, Bertie i ja nie działaliśmy na siebie dobrze.

Jesienią i wiosną jeździłem do szkoły rowerem, bo miasto jest położone na wzgórzach i jazda na rowerze była dobrym sposobem na budowanie masy mięśniowej nóg i pośladków. Mogłem też trochę pobycć wtedy sam, co lubiłem. Droga powrotna z Hillview do domu prowadziła ulicą Prosta do alei Goff, a potem ulicą Wierzbową do Sosnowej. Sosnowa krzyżowała się z Jaworową na szczycie wzgórza, które schodziło do tego przekłętego mostu. A na rogu Sosnowej i Jaworowej stał Dom z *Psychozy*, nazwany tak przez Bertiego Birda, gdy mieliśmy dziesięć, może jedenaście lat.

W rzeczywistości był to dom Bowditcha; to nazwisko widniało na skrzynce pocztowej, wyblakłe, ale wciąż widoczne, jeśli tylko człowiek lepiej się przyjrzał. Bertie miał jednak trochę racji. Wszyscy widzieliśmy ten film (podobnie jak inne tytuły, których jedenastolatek nie może nie znać, czyli *Egzorcysta* i *Coś*), a ten budynek rzeczywiście wyglądał trochę jak dom, w którym mieszkał Norman Bates ze swoją z mumifikowaną matką. Nie przypominał żadnego ze schludnych małych bliźniaków czy willi z ulicy Jaworowej i całej naszej dzielnicy. Dom z *Psychozy* był chaotycznym wiktoriańskim budynkiem o spadzistych dachach, niegdyś zapewne białym, choć przez lata przybrał barwę, którą nazywam „szarością kota dachowca”. Całą posiadłość otaczał stary drewniany płot, który miejscami przechylał się w stronę domu, a miejscami ku ulicy. Wejścia na popękana betonową dróżkę strzegła zardzewiała bramka sięgająca pasa. Na trawniku królowały rozrośnięte chwasty, a weranda wyglądała tak, jakby powoli oddzielała się od domu, którego była częścią. Wszystkie rolety były opuszczone, co jak zauważył Andy Chen, nie miało sensu, bo okna były tak brudne, że niczego nie dało się przez nie zobaczyć. Pośród traw i chwastów tkwił ledwie widoczny znak z napisem: WSTĘP WZBRONIONY.

Na bramce wisiała nieco większa tabliczka, która głosiła: UWAGA, PIES.

Andy opowiadał czasem historyjkę o tym psie, owczarku niemieckim, który nazywał się Radar, jak ten facet w serialu *M*A*S*H*. Wszyscy go słyszeliśmy (nie wiedząc wtedy, że Radar to suka) i czasem widywaliśmy z daleka, ale Andy jako jedyny miał okazję zobaczyć go z bliska. Mówił, że kiedyś, gdy jechał tamtędy na rowerze, przystanął obok bramki, bo skrzynka pocztowa pana Bowditcha była otwarta i wypchana spamem pocztowym do tego stopnia, że część papierów spadła na ziemię i roznosił je wiatr.

– Pozbierałem te śmieci i wepchnąłem do środka, razem z całą resztą – opowiadał Andy. – Chciałem tylko wyświadczyć mu przysługę, do cholery. Potem usłyszałem warczenie i szczekanie, takie ogłuszające JABBA-JABBA-RAU-RAU, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem tego pieprzonego potwora. Ważył z sześćdziesiąt kilogramów, miał wielkie zaślinione zębiska i całkiem czerwone ślepia.

– Jasne – mruknął Bertie. – Pies potwór. Jak Cujo z tego filmu. Oczywiście...

– Właśnie że tak było – upierał się Andy. – Przysięgam na Boga. Gdyby właściciel go nie zawołał, wpadłby prosto na mnie i rozwalił tę bramkę, bo jest już tak stara, że trzeba by ją oddać do programu Medicare.

– Medicare – poprawiłem go.

– Wszystko jedno. Ale ten staruch wyszedł na werandę i wrzasnął: „Radar, leżeć!”, i pies od razu położył się na brzuchu. Ale ciągle się na mnie gapił i warczał. „Co ty tu robisz, chłopcze? – spytał facet. – Kradniesz moją pocztę?” A ja na to: „Nie, proszę pana, wiatr ją roznosił, więc wszystko pozbierałem. Ma pan przepełnioną skrzynkę”. A on wtedy: „Moja skrzynka, moje zmartwienie, a ty się stąd wynoś”. No to się wyniosłem. – Andy pokręcił głową. – Ten pies przegryzłby mi gardło, wiem o tym.

Byłem pewien, że przesadza, często to robił, lecz tego samego wieczoru spytałem tatę o pana Bowditcha. Odpowiedział, że niewiele o nim wie, tylko tyle, że jest starym kawalerem i mieszka

w tej ruderze dłużej niż on przy ulicy Jaworowej, czyli dwadzieścia pięć lat.

– Twój przyjaciel Andy nie jest jedynym dzieciakiem, na którego nakrzyczał – dodał ojciec. – Bowditch słynie z wybuchowego charakteru i nieobliczalnego owczarka niemieckiego. Rada miasta byłaby zachwycona, gdyby umarł, bo wtedy mogliby zburzyć ten dom, ale na razie jakoś się trzyma. Rozmawiam z nim, kiedy go spotykam... co zdarza się rzadko... i wydaje się całkiem uprzejmy, tylko że ja jestem dorosły. Niektórzy starsi ludzie mają alergię na dzieciaki. Radziłbym ci trzymać się od niego z daleka, Charlie.

Co nie było problemem aż do tamtego kwietniowego dnia w 2013 roku. O którym wam teraz opowiem.

12

Przystanąłem na rogu Sosnowej i Jaworowej w drodze powrotnej z treningu baseballu do domu, żeby oderwać lewą dłoń od kierownicy i potrząsnąć nią. Wciąż była czerwona i obolała po zajęciach na siłowni (na rozmokłym boisku jeszcze nie dało się grać). Trener Harkness – prowadzący zarówno zajęcia z baseballu, jak i z koszykówki – kazał mi stanąć na pierwszej bazie, podczas gdy kilku chłopaków, którzy chcieli zostać miotaczami, ćwiczyło rzuty. Niektórzy rzucali naprawdę mocno. Nie powiem, że trener odgrywał się na mnie za to, że nie chciałem grać w kosza – w poprzednim sezonie Jeże wygrały tylko pięć z dwudziestu pięciu meczów – ale nie powiem też, że tego nie robił.

Po prawej miałem krzywy stary dom pana Bowditcha, który z tej perspektywy do złudzenia przypominał ten z *Psychozy*. Obejmowałem właśnie lewą dłonią kierownicę, gotów ruszyć w dalszą drogę, gdy usłyszałem wycie psa. Dochodziło zza domu. Pomyślałem o monstrualnym psie, którego opisywał Andy, o wielkich zębiskach, czerwonych oczach i oślinionych szczękach, ale to nie było ujadanie atakującego rozwścieczonego zwierzęcia: w tym dźwięku kryły się smutek i strach. Może nawet rozpacz. Później

rozmyślałem o tym trochę, zastanawiając się, czy nie dopowiadam sobie tego wszystkiego z perspektywy czasu, uznałem jednak, że nie. Bo znów usłyszałem to smutne wycie. A potem po raz trzeci, wyraźnie słabsze i zrezygnowane, jakby zwierzę myślało: co to da?

A potem, cichsze nawet od ostatniego wycia, lecz wyraźne:

– Pomocy...

Gdyby nie te żalosne dźwięki, popędziłbym w dół zbocza, zjadł w domu pół opakowania czekoladowych ciastek Milano firmy Pepperidge Farm i popił je szklanką mleka, zmęczony i zadowolony. Co mogłoby się okazać fatalne dla pana Bowditcha. Robiło się późno, wieczorne cienie wydłużały się; był cholernie zimny kwiecień. Być może pan Bowditch przeleżałby tam całą noc.

Uznano, że to ja go uratowałem – kolejna złota gwiazdka do moich podań na studia, gdybym tylko porzucił fałszywą skromność i idąc za radą taty, dołączył artykuł z gazety opublikowany tydzień później – ale tak naprawdę to nie byłem ja, nie do końca.

Uratowała go Radar tym przejmującym, rozpaczliwym wyciem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).